

## **Inflacja elit w nauce**

Referat wygłoszony na konferencji

**Wyzwania dla Polski XXI wieku**

**Obrzycko 2006**

To, że ma miejsce głęboka inflacja elit w polskiej polityce jest dzisiaj tak oczywiste, że nawet zawodowym satyrykom trudno jest powiedzieć na ten temat coś zabawnego. Nie do śmiechu jest również tym, którzy obserwują życie polskiej inteligencji, stanowiącej jakby z definicji elitę społeczną. Potwierdzeniem tego jest dla mnie „Dzień świra”, film, którego główny bohater Adam Miauczyński wprawdzie funkcjonuje jak tzw. typowy inteligent, ale w gruncie rzeczy ma już tylko inteligenckie aspiracje /podejmuje próby napisania jakiegoś dzieła literackiego/ oraz inteligenckie frustracje; irytuje go niemal całe otoczenie – począwszy od wrzeszczącej sąsiadki w bloku, poprzez rozwydrzoną młodzież w klasie (Miauczyński jest nauczycielem), do „gdakających” (dosłownie) współpasażerek w przedziale. Domyślam się, że to samo irytuje reżysera i autora scenariusza Marka Koterskiego, oraz odtwórcę głównej roli Marka Kondrata (stąd przedstawili to wszystko z taką sugestywnością, żeby nie powiedzieć – pasją). W sumie film ten reklamowy jest jako „komediodramat”, ale patrząc na chłodno, to więcej w nim jest dramatu niż komedii. Mnie on jednak rozbawił – być może dlatego, że mam zdystansowany stosunek do owego wrzeszczenia i „gdakania”, a nawet rozwydrzenia młodzieży (to ostatnie przychodzi mi jednak ze sporym trudem).

W tym, co powiedziałem przed chwilą jest trochę ironii. Nie mam jednak zamiaru tutaj ironizować. Chcę bowiem wypowiedzieć się o tej części społeczności akademickiej, która zapewne chciałaby, aby ją traktowano serio i powinna być tak traktowana. Od niej bowiem tradycyjnie zależało i zależy najwięcej w tym środowisku. Jest to oczywiście grupa akademickich profesorów – mniejsza o to, czy tytułarnych, czy uczelnianych; jedni i drudzy mają bowiem uprawnienia do prowadzenia samodzielnych badań oraz kształcenia młodzieży na wszystkich szczeblach akademickiej edukacji, ze studiami doktoranckimi włącznie. Moja generalna teza jest taka, że część z nich podejmuje, promuje lub przynajmniej akceptuje takie zachowania, które oznaczają pozorowanie prowadzenia badań, pozorowanie kształcenia młodzieży, pozorowanie rzetelnego ocenienia osiągniętych przez innych wyników, itd. Oznacza to dla mnie inflację elit w nauce, a przy okazji postawienie pod wielkim znakiem zapytania wysiłku tych, którzy swoje obowiązki wykonują na serio. Przyznam, że irytuje mnie zarówno to pierwsze, jak i to drugie.

## 1. Parę uwag na temat elit w nauce

Zgadzam się z tymi, którzy – tak jak prof. Piotr Sztompka – twierdzą, że „nauka jest z samej natury dziedziną konkurencyjną, elitarną i hierarchiczną. (...)Wszelkie dążenia do spłaszczenia hierarchii naukowej są dla środowiska naukowego dysfunkcjonalne. Hasła demokracji i egalitaryzmu są w odniesieniu do nauki czystą, populistyczną demagogią. Z elitarności nauki wynika jasno, że zawsze wybitni będą stanowili mniejszość...”<sup>1</sup>. Te – co tutaj dużo mówić – twarde słowa wypowiedziane zostały przez niego w związku z obroną profesury tytularnej oraz habilitacji, zagrożonych zarówno przez niedowartościowych i pragnących w łatwy sposób się dowartościować doktorów, jak i przez praktykowane na niektórych uczelniach ścieżki łatwego i szybkiego awansu naukowego, usprawiedliwanego niejednokrotnie tzw. wyższą koniecznością (np. utrzymania lub uzyskania uprawnień do prowadzenia studiów magisterskich, promowania doktorów, itd.). Stąd cytowany autor dodaje, że „sztuczne <<przyspieszanie>> niezасłużonych karier, notoryczne nadużycia związane z zupełnym rozmyciem sensu pojęcia <<profesor>> - tytularny, uniwersytecki, uczelniany – nadawanie miana profesorów przez uczelnie niepubliczne osobom bez habilitacji, ciągła obniżka standardów przy awansach w imię <<odmładzania kadry>> lub jako symboliczna rekompensata za niskie zarobki, itp. Nauka nie posunie się ani krok naprzód nawet jeśli wszystkich magistrów nazwiemy profesorami”. To oczywiście jest również temat na szerszą dyskusję.

Moje wywody idą jednak w nieco innym kierunku. Nie chodzi w nich bowiem przede wszystkim ani o lęk przed naukową elitą i elitarnością nauki, lecz o te praktyki, w których zachowane są wprawdzie pozory trudnego wspinania się na szczyty naukowości, ale są to tylko pozory, a efekt tych działań jest taki, że w fazie finalnej mamy nie prawdziwego uczonego, lecz kogoś kto go jedynie mniej lub bardziej zręcznie udaje. Zanim jednak przejdę do powiedzenia czegoś więcej na ten temat przymnę dwie sytuację z przeszłości. Pierwsza z nich związana jest z tym okresem w historii uniwersytetów, w którym miały one autentyczne elity. Taka sytuacja występowała m.in. w pierwszych wiekach funkcjonowania tych uczelni – opisują ją Jacques Le Goff w *Inteligencji w wiekach średnich*; jednym z głównych bohaterów tej książki jest Piotr Abelard, „chluba ośrodka paryskiego (...), pierwszy wielki intelektualista nowoczesny – w graniach nowoczesności wieku XII – pierwszy profesor. (...)Jego pewność siebie, do której się przyznaje (...) każe mu zaatakować najślynniejszego mistrzów paryskich, Wilhelma z Champeaux. Prowokuje go, przyciska do muru, przeciąga słuchaczy na swoją stronę. Wilhelm zmusza Abelarda do opuszczenia Paryża. Ale jest już za późno na

---

<sup>1</sup> Por. P. Sztompka, Nie bójmy się elit, w: „Forum Akademickie”, nr 4/2006, s. 23

ujarzmienie tego młodego talentu. Abelard sam stał się mistrzem. Słuchacze wędrują za nim do Melun, potem do Corbei, gdzie prowadzi szkołę”, itd., itd.<sup>2</sup>. Dalej okazuje się, że swoją batalię o naukową prawdę w bezpośredniej potyczce przegrał (zresztą nie z byle kim, bo z innym wielkim uczonym paryskiego uniwersytetu św. Bernardem z Clairvaux), jednak patrząc w dłuższej perspektywie wygrał ją, bo uniwersytecka nauka poszła tropem wyznaczonym przez niego, a nie przez jego przeciwników.

Druga z tych sytuacji związana jest z tym okresem, w którym europejskie uniwersytety znajdowały się w głębokiej zapaści. Dotyczy to również cieszących się dzisiaj wielką renomą Oksfordu i Cambridge – George Macaulay Trevelyan w *Historii społecznej Anglii* pisze, że w XVIII stuleciu jej profesura, nazywana potocznie „donami”, prowadziła „leniwy i sabarycki” tryb życia”, „w sumieniu swym rozgrzeszała się od trudu czytania, myślenia i pisania. Rozmowa ich grzęzła w kręgu spraw kolegialnych, polityki torysów, spraw osobistych i prywatnych plotek; ich nudne pijatyki na umór usprawiedliwiały krewką niewstrzeźliwość młodzieży” i – co bezpośrednio odbijało się na poziomie kształcenia – uchylała się od prowadzenia wykładów i egzaminów (“Okolo roku 1770 nie odbywały się w Oksfordzie żadne poważne egzaminy”)<sup>3</sup>. Nie lepiej było na uniwersytetach w innych krajach, w tym w Akademii Krakowskiej, nazwanej przez jednego z jej absolwentów Hugo Kołłątaja „przedpotopowym mamutem” – w swoim „Raporcie” z wizytacji tej uczelni za jej upadek obwiniał głównie jezuitów (“Gdyby Akademia Krakowska nie była prześladowana od jezuitów, gdyby w nieprzerwannej przez dwa wieki z tym zakonem nie pozostawała kłótni, cóż by jej przeszkodzić mogło i do utrzymania w dobrym stanie tych nauk, w których przez dwa wieki zbierała sławę, i do wynalezienia wielu nowych...”), ale też dostało się w nim również jej profesorom<sup>4</sup>.

Mógłby ktoś zapytać: po co przypominać te „starocie”? Rzecz w tym, że pojęcie naukowej elity nie narodziło się dzisiaj, lecz było kształtowane przez wieki (tak samo zresztą jak znaczenie takich określeń jak „profesor”, „doktor”, czy „magister”) i w każdym przypadku o jej pozycji decydowały nie tylko zewnętrzne uwarunkowania, czy wspomniane wcześniej sytuacje „wyższej konieczności”, lecz również ci, którzy mieli odwagę i intelektualne kwalifikacje, aby iść „pod prąd”, a przynajmniej nie przyłączać się do tych, którzy swoim zachowaniem ośmieszali prawdziwą naukę i prawdziwych uczonych.

## 2. Tropienie pozorantów

---

<sup>2</sup> Por. J. Le Goff, *Inteligencja w wiekach średnich*, Warszawa 1997, s. 49 i d.

<sup>3</sup> Por. G. Macaulay Trevelyan, *Historia społeczna Anglii*, Warszawa 1961, s. 355 i n.

<sup>4</sup> Por. H. Kołłątaj, *Raport z wizytacji Akademii Krakowskiej odbytej w r. 1777*, w: *Wybór pism naukowych*, Warszawa 1953, s. 154

Nie chciałbym być posądzony o jakąś „donkiszoterię”, ani tym bardziej o wejście w rolę samozwańczego detektywa, śledzącego rzeczywiste lub domniemane nadużycia koleżanek i kolegów. Nie muszę jednak tego robić, bowiem od wielu lat w środowiskowym czasopiśmie „Forum Akademickie” obie te role z powodzeniem odgrywa Marek Wroński, autor kroniki „Z archiwum nieuczciwości naukowej”. W majowym numerze FA z 2006 r., ukazał się 41 odcinek tego swoistego serialu, zatytułowany: „Doktorat po kupiecku”. Jego negatywnym bohaterem jest rektor Wyższej Szkoły Kupieckiej w Łodzi Sławomir Owczarski, który całkiem zwyczajnie przepisał znaczną część cudzej pracy habilitacyjnej (notabene „utraconej” przez CK) i przedstawił jako „swoją” doktorat (obroniony z powodzeniem)<sup>5</sup>. W tym wszystkim nie „połapał” się ani promotor tego ewidentnego plagiatora, ani dwaj recenzenci tego „doktoratu” – mimo, że jeden z nich był i jest zatrudniony w tej samej uczelni (Akademii Ekonomicznej w Poznaniu), w której pracuje niedoszły doktor habilitowany, a rozprawa tego ostatniego była drukowana w sporym nakładzie. Zasmucające w tym wszystkim są jeszcze co najmniej dwa fakty – pierwszy z nich (mniej istotny) to ten, że mimo iż obrona doktoratu wypadła bardzo słabo, to „zachowany protokół tego faktu nie ukazuje”, zaś drugi to ten, że „Rektor Owczarski nie przyznaje się do plagiatu i poprzez adwokata zapowiedział, iż sądownie będzie walczył o swoje dobre imię oraz o unieważnienie decyzji Rady Wydziału”. Przy okazji M. Wroński w odcinku tym informuje o tym jak toczą się opisane wcześniej przez niego przypadki innych plagiatów, w tym bulwersująca środowisko filozofów sprawa Macieja Potępy; i w tym przypadku plagiat jest ewidentny, a sam plagiator walczy przed sądem jeśli już nie o swoje dobre imię, to co najmniej o tytuł profesorski i dopóki co zachowuje etat profesorski w publicznej uczelni<sup>6</sup>. Pociuszające jest w tym wszystkim to, że są w środowisku akademickim osoby, które chcą i mają odwagę walczyć z tego rodzaju nadużyciami. Myślę tutaj nie tyle o autorze tej kroniki „nieuczciwości naukowej” (z tego co wiem, to siedzi on w Nowym Jorku i pisze swoje artykuły na podstawie informacji przekazywanych mu przez profesorów znających sprawy „od poszewki”), co o tych osobach, którzy występują przeciwko nim otwarcie na radach instytutów i wydziałów. Nie ma ich jednak zbyt wielu.

---

<sup>5</sup> „Jak w końcu marca 2006 stwierdziła specjalna Komisja Dziekańska Wydziału Zarządzania UŁ (...)strony doktoratu 66-276 zostały przepisane z książki dr Kaczmarka w 90%. Identyczna jest też towarzysząca tym stronom bibliografia. Tylko tekst pierwszych 65 stron jest inny i uznano go za napisany samodzielnie”. M. Wroński, Doktorat po kupiecku, „Forum Akademickie” nr 5/2006, s. 32

<sup>6</sup> „W końcu marca 2006 Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie odrzucił pozew dr. hab. Macieja Potępy o unieważnienie decyzji Centralnej Komisji, która w połowie 2004, na wniosek Uniwersytetu Łódzkiego, odebrała mu tytuł naukowy profesora filozofii za plagiat książki profesorskiej. Do niedawna prof. Potępa był pracownikiem naukowym Instytutu Filozofii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Obecnie pracuje w Katedrze UNESCO (kierownik: prof. Józef Górniewicz)”. Tamże, s. 33

Nie będę tutaj jednak zastanawiał się ani nad motywami, którymi kieruje się dr medycyny (nie zatrudniony jednak, jak się zdaje, w żadnej uczelni) Marek Wroński, ani też nad moralną ocenę tych, którzy go informują o różnego rodzaju nieuczciwościach w nauce. Chciałbym natomiast krótko wypunktować, korzystając z tego „Archiwum nieuczciwości naukowej”, te kwestie, które stawiają pod znakiem zapytania wysoką pozycję uczelnianej profesury. I tak, sprawa nieuczciwości naukowej to jedno, a jej ściganie i karanie, to drugie; np. w numerze 1 ze stycznia 2003 r. M. Wroński opisuje przypadek byłego prorektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy (obecnie Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego) prof. Franciszka Nowaka, który sfabrykował recenzję wydawniczą swojego skryptu. I co?; i nic – „Aczkolwiek zapadł wyrok sądowy, sprawa dyscyplinarna jest dzisiaj już zapewne przedawniona”<sup>7</sup>. W tym samym artykule znajduje się informacja o kilku innych zaniechaniach ścigania i karania. W numerze z marca 2004 r. opisany jest głośny (przynajmniej w poznańskim środowisku medycznym) przypadek autoplagiatu prof. Wity Szulc (profesora Akademii Medycznej w Poznaniu) oraz zgłoszenia do tego autoplagiatu pretensji przez trzech innych autorów, którzy uznali się za ... współautorów tego „oryginalnego” opracowania, ale wymieniona tutaj Pani Profesor „zapomniała” ich dopisać do publikacji. I co?; też nic – rzecznik dyscyplinarny AM prof. Eugeniusz Korman, umorzył postępowanie<sup>8</sup>. Później w kilkunastu kolejnych odcinkach tego serialu „wałkowane” są sprawy różnych plagiatów. Istotnie nowe akcenty pojawiają się na początku 2004 r. – rzecz dotyczy habilitacji wietnamskiego uczonego obronionej na jednym z wydziałów AGH; problem w tym, że „prawie cały dorobek habilitanta jest po wietnamsku”, a „żaden z członków rady naukowej tego wydziału nie znał tego języka”, „praca habilitacyjna była poniżej najniższych wymagań wydziału”, a wykład habilitacyjny był „fatalny”, co oczywiście nie przeszkadzało tej radzie go przyjąć i wnioskować o nadanie temu wietnamskiemu „uczonemu” stopnia doktora habilitowanego. Jeszcze innym przejawem nieuczciwości naukowej jest kwestia cytowań - z tzw. pierwszej, drugiej i trzeciej ręki lub po prostu z tzw. kapelusza (podnoszona jest ona przez M. Wrońskiego w numerze z lutego 2005 r.). Może jednak już wystarczy wyliczania tych zasmucających przejawów nieuczciwości naukowej.

Zanim jednak powiem coś o przypadkach z własnego „podwórka” odwołam się jeszcze do wypowiedzi prof. Zbigniewa Kwiecińskiego na temat „epidemii społecznych w środowisku akademickim”; pod takim właśnie tytułem wygłosił on rok temu referat na zorganizowanej przez Wydział Nauk Społecznych UAM sesji naukowej. Niewielu go słyszało

---

<sup>7</sup> Por. M. Wroński, Nasi też potrafia!, „Forum Akademickie”, nr 1/2003, s. 38

<sup>8</sup> Por. M. Wroński, Reguły współautorstwa, „Forum Akademickie”, nr 3/2004, s. 42

(podczas jego wystąpienia sala świeciła pustkami), a szkoda, bo prowokował do poważnych dyskusji – m.in. na temat elit w nauce. Generalna teza jego wystąpienia sprowadzała się do twierdzenia, iż „współcześnie w środowisku akademickim występują trzy epidemie. Są to: obojętność obywatelska, utowarowienie wszelkich relacji akademickich oraz mediatyzacja, czyli zdominowanie życia autentycznego przez media elektroniczne”<sup>9</sup>. Dla postawionego przeze mnie problemu najbardziej interesująca jest kwestia owego „utowarowienia”. Oznacza ona bowiem, że „towarem” stały się również stopnie i tytuły naukowe. Zapotrzebowanie na nie jest tym większe, im większą popularnością cieszy się dany kierunek studiów. Takim popularnym kierunkiem jest m.in. pedagogika; „Z kopcieszka uniwersytetów stała się przebojem studiów akademickich piętnastolecia po roku 1990”<sup>10</sup>. Do dydaktycznego „obsłużenia” tego tłumu studiujących pedagogikę potrzebny jest może nieco mniejszy, ale mimo wszystko „tłum” nauczycieli akademickich, w tym profesorów. Skąd ich wziąć? Tutaj właśnie zaczyna się inflacja. Do wykonywania tych obowiązków garną się bowiem nie tylko ci, którzy mają kwalifikacje pedagogiczne, ale również ci, którzy jeszcze wczoraj byli chemikami, czy ornitologami („W pewnej dużej szkole niepublicznej kilkudziesięciu magistrów pedagogiki wypromował profesor ornitologii, a tematy prac były wyłącznie ornitologiczne”). Szczególnie duże zapotrzebowanie jest na pedagogów posiadających habilitację. Efekt jest taki, że do CK „płynie rzeka” wniosków o nadanie stopnia doktora habilitowanego w tej dyscyplinie, a na samą komisję wywierane są nieustanne naciski o obniżenie wymagań. Towarzyszy temu „szukanie oparcia w liberalnych profesorach, koleżeńskie recenzje, gładkie i ogólnikowe, z których słynną niektórzy profesorowie, otwieranie przewodów w radach wydziału, które są znane z mechanicznego i maksymalnie skrótowego ich prowadzenia, szukanie <<dojść>> do recenzentów i superrecenzentów, no i wreszcie nasilające się plagiaty”<sup>11</sup>. Dodam, że mówi to wieloletni członek Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułu Naukowego /tzw. „CK”/.

### **3. Coś z własnego „podwórka”**

Nie chcę tutaj mówić ani o plagiatach i plagiatorach (choć bez trudu znalazłbym takie przykłady), ani też o traktowaniu tych plagiatorów przez profesorów, z którymi współpracuję, kooperuję lub tylko zasiadam w tych samych radach naukowych (ich reakcje są jednak

---

<sup>9</sup> Por. Z. Kwieciński, Epidemie społeczne w środowisku akademickim, w: Etyczne aspekty badań społecznych, Poznań 2005, s. 77 i d.

<sup>10</sup> „Pedagogikę można dziś studiować na setkach (odpłatnych) miejsc nie tylko uniwersytetów i akademii pedagogicznych, nie tylko w każdej szkole technicznej, rolniczej, wojskowej i teologicznej, ale w każdym mieście i miasteczku, a nawet nie wychodząc z domu, po zapłaceniu czesnego i wykupieniu dostępu do telewizyjnego kanału edukacyjnego. Po łatwy i niedrogi licencjat, a jeszcze łatwiejsze magisterium, sięgają: żołnierze, masażyści, zakonnice, katecheci, księgowi, sprzedawcy, kasjerki, kelnerki ...”, itd. Tamże, s. 80

<sup>11</sup> Tamże, s. 83

zróznicowane). Powiem natomiast parę zdań najpierw o profesorskim opiniowaniu, a później o samooceniu się przez profesorów. Obie kwestie bezpośrednio się ze sobą łączą. Nie wymienię tutaj nikogo z nazwiska, ale jeśli ktoś skojarzy poszczególne przykłady z konkretnymi osobami, to zapewne nie w każdym przypadku będę mógł twierdzić, że zbieżność jest przypadkowa.

A zatem opiniowanie. Przede wszystkim w procedurach awansowych, bo one wywołują największą „gorączkę”, ale i też najpoważniejsze wątpliwości. Pierwszą fazą jest dobór opiniodawców. Już w tym momencie zaczyna się gra interesów – z jednej strony „kandydata do ...” i jego promotorów, protektorów, przyjaciół i przyjaciół przyjaciół, zaś z drugiej tych, którzy albo mają już wyrobione zdanie na temat owego kandydata, albo też chcieliby, aby ktoś o odpowiednich kwalifikacjach pomógł im je wyrobić. Rzecz jasna, życzeniem tych pierwszych jest, aby tymi opiniodawcami byli ich przyjaciele, koledzy lub – w najgorszym razie – osoby znane z bardzo życzliwego stosunku do wszystkiego, co żyje w nauce; nawet jeśli jest to życie niezbyt pracowite. Natomiast drudzy chcieliby odsiać naukowe ziarno od „plew” – jeśli tak można nazwać to, co jest niesamodzielne, nieoryginalne, powtórkowe (stanowi autoplgiat) lub w najlepszym razie sytuuje się na poziomie gazetowej publicystyki. Do tego potrzebni są im kompetentni, odpowiedzialni i odważni opiniodawcy. Z mojego doświadczenia wynika, że niełatwo jest takich znaleźć, a jeśli już na takiego opiniodawcę się trafi, to zdarza się, iż osoba ta odmawia napisania rzetelnej opinii – czasami dla tzw. „świętego spokoju”, a czasami po prostu zde gustowana tym całym „łańcuszkiem” przyjaciół „kandydata do ...” i próbami wywierania na nią presji. Bywa oczywiście i tak, że kłopoty ze „swoimi” opiniodawcami mają także ci pierwsi i zamiast oczekiwanych „ochów i achów” otrzymują opinię, w której trudno znaleźć chociażby jedno pozytywne zdanie o owym kandydacie. Takie sytuacje zdarzają się jednak tak rzadko, że powinny być wpisywane do uczelnianej kroniki i przypominane (ku przestrodze) tym, którzy mają wprawdzie profesorskie aspiracje, ale nie mają profesorskiego dorobku i profesorskich kwalifikacji. Zwykle skład recenzentów jest wypadkową ścierania się sił członków „komisji ds.”, a sytuacja, w której „kandydat do ...” ma wszystkie jednoznacznie pozytywne opinie może świadczyć albo o tym, że mamy do czynienia z geniuszem (tacy przecież pojawiają się rzadko), albo też o tym, że komisja ta została dobrana „pod kandydata”.

Ów kandydat nie musi jednak mieć wszystkich jednoznacznie pozytywnych opinii, aby być dopuszczony do dalszej części procedury awansowej. Może być nawet taka sytuacja, że któraś z nich jest negatywna, ale nie przekonała ona członków rady uprawnionej do prowadzenia takiej procedury, że osoba ubiegająca się o awans faktycznie nie spełnia

obowiązujących w tym zakresie wymagań. W przypadku ubiegania się o tytuł profesorski (nie należy go w żadnym wypadku mylić z profesorskim stanowiskiem) najwięcej zależy od rzetelności członków komisji, która przedstawia wyniki dotychczasowego postępowania pozostałym członkom rady wydziału lub instytutu. Ograniczanie ich uprawnień i obowiązków do zaproponowania opiniodawców stanowi próbę marginalizacji tego gremium i daje podstawę do wniosku, że w grę wchodzi przedkładanie „interesów grupowych” ponad standardy naukowej przyzwoitości. Nie chciałbym jednak tego wątku rozwijać, bowiem w zbyt oczywisty sposób łączy się on z wydarzeniami, które miały miejsce wiosną 2006 r. na posiedzeniu Rady Wydziału Nauk Społecznych UAM. Przypomnę jednak tym, którzy upowszechniają pogląd o jedynie formalno-proceduralnych uprawnieniach „komisji profesorskiej” (składa się wyłącznie z profesorów tytularnych), że następną fazą w tej procedurze awansowej jest skierowanie wniosku o tytuł profesorski do „CK”, a tam byłoby jeszcze trudniej zorganizować „przyjazną” większość dla „swojego” kandydata. Tyle jeśli chodzi o opiniowanie przez profesorów.

Teraz parę zdań o profesorskich samoocenach. Ujawniają się one przy różnych okazjach - m.in. przy powoływaniu „komisji ds...”, w trakcie prac członków tych komisji, w przesyłanych tym komisjom opiniach, oraz w dyskusjach nad tymi i innymi jeszcze sprawami osobowymi. Nie wyczerpuje to oczywiście możliwości ich zademonstrowania, ale chciałbym się ograniczyć do tych kilku sytuacji. Każda z nich daje okazję do zademonstrowania nie tylko krytycyzmu, ale i samokrytycyzmu. Jeden i drugi powinien być oczywiście poparty odpowiednimi kompetencjami, odpowiedzialnością, gotowością do ujawniania błędów i zwyczajnych nadużyć w nauce, wzniesieniem się ponad osobiste sympatie i antypatie oraz układy, układy i jeszcze raz układy. Niełatwo jest o to wszystko jednocześnie. Bywa tak, że wprowadzają się profesorskie kompetencje, ale profesor taki ocenia swoje możliwości jako zbyt ograniczone, aby skutecznie przeciwstawić się konkretnemu przypadkowi nierzetelności w nauce i nie ujawnia swoich zastrzeżeń. Bywa jednak również i tak, że kompetencje te są, ale nie w tym obszarze, w którym specjalizuje się oceniana osoba, co jednak nie przeszkadza oceniającemu profesorowi zgłaszać swoich zastrzeżeń. Problem polega nie tylko na tym, że ma on zawyżoną samoocenę, ale także na tym, że czasami oczekuje się od niego, że będzie specjalistą od wszystkiego. Nie jest to bynajmniej żaden żart. Na jednej z rad naukowych usłyszałem, że skoro ktoś już został profesorem zwyczajnym, czyli osiągnął najwyższy szczebel w akademickiej hierarchii, to powinien znać się na wszystkim. Nie chciałbym jednak ujawniać ani nazwiska osoby wygłaszającej takie poglądy, ani też tego, co myślę o takich wypowiedziach.



Nie jest to zresztą aż takie istotne. Kłopot zaczyna się bowiem dopiero wówczas, gdy któryś z profesorów, albo sam dojdzie do takiego wniosku, albo też pozwoli sobie to wmówić. Powiem parę zdań o tym jak to wygląda w praktyce. Zdarzało mi się uczestniczyć w takich dyskusjach na posiedzeniach rad naukowych, na których ze strony profesorów padały pytania z tzw. „podtekstem”, lub z góry założoną odpowiedzią - z jednego i drugiego jasno wynikało (ale tylko dla zewnętrznego obserwatora), że pytający albo nie za wiele zrozumiał z tego, co jest faktycznie przedmiotem dyskusji, albo porusza się po jej peryferiach, albo też próbuje sobie jakoś dopasować dyskutowany problem do swojej wiedzy na ten temat (i ma z tym kłopoty). Zdarzało mi się również uczestniczyć w takich posiedzeniach „komisji ds. ...”, na których formułowane były przez któregoś z jej członków jednoznaczne wnioski i oceny (mniejsza o to, czy pozytywne, czy negatywne) na podstawie przekartkowania ocenianej rozprawy lub zapoznania się z jej tytułem i spisem treści. Świadczy to niezbicie, że taka osoba ma bardzo wygórowaną ocenę własnych możliwości intelektualnych (skoro tak szybko i łatwo może się zorientować „w sprawie”). Osobom takim przychodzi jednak z największym trudem przyjęcie do wiadomości, że ich ocena jest albo całkowicie nie trafna, albo też przesadzona w którąś stronę. Uczestniczyłem w takiej dyskusji, w której z jednej strony pojawiły się różne i nie do końca przeze mnie rozpoznane interesy, z drugiej natomiast racje - w moim głębokim przekonaniu - merytoryczne i naukowe „komisji ds. tytułu profesorskiego”. Nie wyglądało na to, aby reprezentujący te pierwsze profesor został przeze mnie przekonany. Przeciwnie, odebrał owe racje jako personalny atak na „kandydata do...” i być może również jego osobę. Nie powiem w tej sprawie niczego więcej poza tym, że tylko niewielu członków tej rady naukowej podzieliło opinię owego profesora.

#### **4. Scenariusze „ratunkowe”**

Rzecz jasna, nie jest tak, że nie ma żadnego pomysłu na zahamowanie inflacji elit w nauce. Pomysły takie bowiem się pojawiają (i to nawet dosyć często), a zawarte w nich propozycje przedstawiają mniej lub bardziej radykalne scenariusze ratunkowe. Tylko tytułem przykładu przywołam dwa z nich. Autorem pierwszego jest prof. January Weiner, biolog zatrudniony w Uniwersytecie Jagiellońskim. „Koło ratunkowo” dla polskiej nauki i uczonych widzi on w usprawnieniu procedury uzyskiwania stopnia doktora habilitowanego - o obecnie obowiązującej pisze, iż jest „ułomna, a nawet stała się karykaturą samej siebie”. Proponowane przez niego zmiany to m.in.:

- „rozdzielenie <<habilitacji badawczej>> (gdzie liczy się tylko dorobek naukowy) i <<habilitacji akademickiej>> (poszerzonej o kwalifikacje dydaktyczne)”,

- wprowadzenie do procedury uzyskiwania drugiej z nich „dwugodzinnego, kursowego wykładu dla studentów (którzy są obecni na sali i biorą potem udział w procedurze oceniającej), a któremu przysłuchują się również członkowie odpowiedniej rady”,
- „powszechne otwarcie na udział recenzentów zagranicznych we wszystkich procedurach oceniających, od recenzowania doktoratu po konkursy profesorskie i kategoryzacje placówek”<sup>12</sup>.

Zasadniczo odmienny pomysł na uzdrowienie sytuacji polskich elit naukowych ma dr inż. Jerzy Stanisław Olędzki, adiunkt w Politechnice Warszawskiej. Proponuje on generalne odejście od tzw. niemieckiego modelu kariery akademickiej (opartego m.in. na obowiązku uzyskania stopnia naukowego doktora habilitowanego), oraz przyjęcie takiego, w którym „stopień doktora jest najwyższym stopniem kwalifikacji zawodowej, a równocześnie jest jedynym stopniem naukowym. Naturalną konsekwencją tego jest uprawnienie doktorów do prowadzenia i recenzowania prac doktorskich. Doktor powinien brać udział w kształceniu kadry naukowej wtedy, gdy ma udokumentowane osiągnięcia naukowe, a rada wydziału uzna przedstawiony temat pracy podopiecznego za godny opracowania”. Do tego dochodziłoby „spłaszczenie struktury hierarchicznej” stanowisk pracowników akademickich - „Rozwiązaniem może być więc hierarchia trójstopniowa (np. profesor pełny, profesor pomocniczy i asystent)<sup>13</sup>. Argumenty mające przemawiać za tym modelem kariery naukowej są różne – od natury „gerontologicznej” (przy obecnie obowiązującym modelu „status profesora mającego pełne uprawnienia akademickie osiąga się w zbyt późno, a okres pracy, w którym sprawność intelektualna jest największa, upływa na działaniach, których celem nadrzędnym jest awans formalny”), poprzez przywołanie „analizy porównawczej prowadzonej w Harvard Business School (wynika z niej, że „przejście to charakteryzuje się zmianą w organizacji struktury pionowej na poziomą, zastąpieniem zadań rutynowych upelnomocniem, formalistycznych procedur – dostępem do informacji, strategii konkurencji – strategią współpracy, sztywnej kultury organizacji – kulturą adaptacyjną”), po argumentację ideologiczną („Dla osób wychowanych w społeczeństwie totalitarnym naturalne wydaje się poszukiwanie i tworzenie ciał kontrolnych”). Powiem otwarcie, że żaden z tych argumentów nie przekonał mnie do zniesienia habilitacji (bo w gruncie rzeczy to tego ten pomysł się sprowadza), a opowiadającego się za takim rozwiązaniem autora tego scenariusza odsyłam do

<sup>12</sup> Por. J. Weiner, Nie jestem optymistą, „Forum Akademickie” nr 7-8/2006, s. 27 i n.

<sup>13</sup> „Konsekwencją proponowanych rozwiązań byłaby likwidacja Centralnej Komisji ds. Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych i przekazanie uczelniom spraw przewodów kwalifikacyjnych i konkursów. Nadzór nad całością pełniłaby Państwowa Komisja Akredytacyjna...”. Por. J.S. Olędzki, Spory o model kariery, „Forum Akademickie”, wyd. cyt., s. 30 i n.

lektury książki Zbyszko Melosika pt. *Uniwersytet i społeczeństwo*, przedstawiającej problemy szkolnictwa wyższego w krajach, w których faktycznie habilitacja nie obowiązuje; ale obowiązuje tzw. *tenure* i takie scenariusze jego uzyskiwania, że niejednemu z naszych doktorów habilitowanych trudno byłoby im sprostać<sup>14</sup>. Dodam jeszcze tylko, że najsłabszym punktem tego pomysłu jest ocena owych „udokumentowanych osiągnięć naukowych” osoby mającej aspiracje do bycia profesorem (ale nie mającej habilitacji) – znajomość realiów polskiego środowiska akademickiego skłania mnie do sformułowania tezy, iż nader łatwo owymi osiągnięciami stałoby się coś, co w warunkach amerykańskich mogłoby być potraktowane w najlepszym przypadku jako popularyzatorstwo, eseistyka, czy publicystyka.

Mam oczywiście również swoje pomysły na poprawienie kondycji polskich elit naukowych. Przedstawię tutaj dwa takie scenariusze. Przy pierwszym zakładam, iż profesura ma świadomość, że jeśli nie dokona w swoim środowisku radykalnych zmian, to utraci wpływ na to, co się robi i jak się robi w nauce - może nawet nie tyle na rzecz owych „młodych” i zdolnych doktorów (o których walczy m.in. J.S. Olędzki,) co tych unijnych urzędników, którzy nie zawsze mają stopnie, czy tytuły naukowe, ale mają zasadniczy wpływ na podział środków finansowych na badania naukowe. Tego oczywiście nie chcą nawet ci, którzy z różnych względów ani nie ubiegali się, ani też nie zamierzają ubiegać się o te środki<sup>15</sup>. Zmiany te trzeba zacząć od „dołu”, to znaczy od funkcjonowania poszczególnych profesorów w ich podstawowym i (ew.) dodatkowych miejscach zatrudniania. Proponuję zatem tutaj:

- wprowadzenie całkowitej jawności osiąganych przez profesorów wyników naukowych; np. poprzez obligatoryjne zamieszczanie na ich stronach internetowych szczegółowego wykazu ich publikacji, wystąpień na konferencjach naukowych, prowadzonych przewodów doktorskich, udziału w procedurach awansowych (w roli członków komisji i opiniodawców), prowadzonych wykładach, seminariach i konwersatoriach (ew. z podaniem liczby studentów), sporządzonych opiniach wydawniczych itd.,
- prowadzenie regularnie aktualizowanej (np. co trzy lata) kategoryzacji wszystkich profesorów (z podziałem np. na cztery kategorie – A, B, C i D), przy czym do pierwszej zaliczani byłiby tylko ci, którzy mają nie tylko

---

<sup>14</sup> Por. Z. Melosik, *Uniwersytet i społeczeństwo*, Dyskursy wolności, wiedzy i władzy, Poznań 2002, s. 33 i n.

<sup>15</sup> Na temat udziału polskich uczonych w finansowanych przez UE tzw. „Programach ramowych” wypowiadałem się szerzej w artykule pt. „Przyszłość uniwersytetów” (w: *Europa w nowych granicach czy Europa bez granic?*, Poznań 2004, s. 213 i n.). Szereg interesujących danych na ten temat zawiera również artykuł J.T. Gierlińskiego pt. „Polska w programach ramowych”, zamieszczony w 7-8 oraz w 9 numerze „Forum Akademickiego” z 2006 r.

krajowe, ale i zagraniczne osiągnięcia (np. w postaci drukowanych w liczących się wydawnictwach artykułów lub wygłaszanych na znaczącym forum międzynarodowym referatów, udziału w międzynarodowych projektach badawczych itp.), a wskaźniki ilościowe tych osiągnięć byłyby zbliżone do wskaźników profesorów zatrudnionych w liczących się ośrodkach akademickich w krajach Zachodnich<sup>16</sup>,

- przyznawanie poszczególnym profesorom środków finansowych z funduszy uczelnianych na tzw. działalność statutową i badania własne według uzyskanej przez nich kategorii, przy czym kwota ta powinna mieć wyraźny związek ze środkami uzyskanymi przez tzw. podstawową jednostkę uczelnianą (z reguły stanowi ją wydział) z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a tzw. narzuty uczelniane nie powinny być w sumie większe niż 25% tych środków.

Osobom nie znającym środowiska profesorskiego takie rozwiązania mogą wydawać się łatwe do wprowadzenia i nie pociągające wielkich kosztów. Niestety, tak nie jest. Może finansowe koszty nie byłyby znaczne przy ich wdrażaniu, ale jak ogromne musiałyby być tutaj koszty „czysto ludzkie” – jeśli tak można nazwać straty psychologiczne i zwyczajowe. Bo przecież całkiem spora grupa profesorów utraciłaby to dobre samopoczucie, które zbudowała m.in. na swoim przekonaniu, że ważne jest nie tyle, co się prezentuje i dokumentuje w formie publikacji, lecz to, jak głębokie i oryginalne ma się przemyślenia (ujawniane jednak nader „oszczędnie”), dalej, na jak heroiczny wysiłek musieliby się zdobyć ci profesorowie, którzy swoją wysoką pozycję zawdzięczają albo dawnym wynikom (od których od wielu lat odrywają „kupony”), albo pozanaukowym osiągnięciom (np. w administracji lub w polityce), albo też różnym układom. Jeśli ktoś sądzi, że są to jakieś insynuacje, to niech zajrzy na strony internetowe tych profesorów, a jeśli takich stron nie znajdzie, to niech wrzuci do internetowej wyszukiwarki hasło: „profesor X...”. Dzisiaj internet jest najbardziej bezlitosnym opiniodawcą - śladowa obecność w nim „profesora X...” oznacza po prostu, iż jego udział w życiu naukowym jest marginalny.

Drugi z proponowanych przeze mnie scenariusz „ratunkowy” dla polskich elit w nauce jest łagodniejszy. Zakłada bowiem, że zachowana zostaje dotychczasowa struktura stopni i tytułów naukowych, oraz stanowisk akademickich, a nawet procedury awansowe (wraz z tak krytykowaną przez wielu „CK”). Natomiast zastrzone zostałyby wymagania i

---

<sup>16</sup> Można byłoby w tej kategoryzacji profesorów skorzystać z któregoś z zachodnich wzorców, np. takiego jaki obowiązują w Centrum Narodowym Badań Naukowych we Francji (CNRS) – nie ma tam co prawda stanowisk profesorskich, ale są stanowiska tzw. maître recherche oraz directeur recherche, przy czym w każdej z tych grup badawczych występuje kilka „szczebli” (echelon) zaszerogowania.

reguły postępowania w tych procedurach, oraz zmianie musiałyby ulec pewne środowiskowe zwyczaje. Proponuję zatem, aby:

- jednostki uprawnione do nadawania stopni naukowych i profesorskiego tytułu ustaliły na stosunkowo wysokim poziomie warunki „progowe” dla ubiegających się o awans naukowych; np. dla ubiegających się o stopień doktora warunkiem byłyby wystąpienia (z referatem) na liczących się konferencjach naukowych, posiadanie międzynarodowego certyfikatu czynnej znajomości języka obcego, oraz min. dwóch - trzech publikacji w recenzowanych wydawnictwach; dla ubiegających się o stopień doktora habilitowanego te warunki „progowe” to zgromadzenia znacznego dorobku naukowego w postaci kilkudziesięciu artykułów naukowych (przynajmniej część z nich powinna się ukazać w którymś z języków kongresowych), a w przypadku nauk humanistycznych i społecznych posiadanie również zwartej monografii naukowej, oraz udział w międzynarodowym życiu naukowym (np. poprzez odbywane staże zagraniczne lub uczestnictwo w realizacji unijnych projektów badawczych); dla ubiegających się o tytuł profesora wymogi w zakresie udokumentowanego pohabilitacyjnego dorobku naukowego nie powinny być mniejsze niż przy habilitacji, a ponadto powinno się od niego wymagać prowadzenia seminariów doktorskich oraz wypromowania co najmniej jednego doktora i prowadzenia kilku innych doktorantów, z których co najmniej jeden miałby otwarty przewód doktorski
- w skład „komisji ds. ...” powoływani byliby wyłącznie specjaliści chcący, potrafiący i nie obawiający się rzetelnie ocenić osiągnięcia naukowe i dydaktyczne kandydatów do akademickiego awansu, a w przypadku popełnienia przez któregoś z członków tych komisji poważnego błędu w sztuce naukowej oceny, wykluczenie go przynajmniej na pewien czas z udziału w nich, oraz poinformowanie o tym fakcie rady naukowej jednostki mającej uprawnienia nadawania stopni naukowych lub wnioskowania o tytuł profesorski
- podobne kroki podejmowane byłyby w stosunku do tych opiniodawców zewnętrznych, którzy zbyt niefrasobliwie lub po koleżeńsku podeszli do powierzonego im zadania rzetelnej oceny osiągnięć naukowych i dydaktycznych „kandydata do ...”.

Może ktoś powiedzieć, iż w niektórych uczelniach lub przynajmniej na niektórych wydziałach tego rodzaju wymagania już obowiązują. Jeśli nawet tak jest, to są one jednak pewnymi wyjątkami od reguły. Nie twierdę, iż obiektywnym obrazem tej reguły jest prowadzone przez M. Wrońskiego „Archiwum nieuczciwości naukowej”. Twierdę natomiast, iż praktykowane w wielu uczelniach procedury awansowe stanowią zbyt dziurawe „sito” selekcyjne, aby nie mogli przez się przez nie przecisnąć pseudouczni, uprawiający pseudonauki.